Rok III 26 kwietnia 1931 Nr. 17

DZWONECZEK

BEZPŁATNY DODATEK TYGOD. DO „DZWONU NIEDZIELNEGO" Nr. 17

KONGRES MARJAŃSKI — A DZIECI

Wszyscy Ci, z pomiędzy Czytelników Dzwoneczka, którzy mieszkają w Krakowie, widzieli pewnie zarówno prześlicznie oświetlony kościół Marjacki i Wawel jak i olbrzymi wielotysięczny pochód z Domu katolickiego do katedry. Może też nie jedno z was było obecne, czy na jakiem zebraniu, czy na nabożeństwie lub odczycie, ale w każdym razie znaczna większość nie wie, co się działo w murach Domu katolickiego i jakie to wszystko miało znaczenie. Nie będę wam tu opisywała całego przebiegu uroczystości, bo je znajdziecie dokładnie opisane w dzisiejszym numerze „Dzwonu", ale pragnę wam wytłomaczyć, jakie znaczenie ma taki kongres i jaki może mieć wpływ na wasze dziecięce lub młodzieńcze życie. Widzieliście, że prócz duchowieństwa, przyjechało do Krakowa na uroczystości mnóstwo ludzi (przeważnie panów i młodzieży męskiej); wszyscy oni pragnęli wziąć udział w kongresie nie dla ciekawości, nie z obowiązku, ale dlatego, że na tych zebraniach miały być poruszane różne sprawy tyczące się czci Marji Panny, naszej Polskiej Królowej.

Każdy Polak czy Polka kocha Matkę Bożą; jedni lubią odmawiać Różaniec, inni pilnie chodzą na nabożeństwa majowe, jeszcze inni polecają wciąż siebie i swoich opiece Tej najlepszej Matki. Ale nie wszyscy robią to publicznie; najczęściej widzi to nabożeństwo sam Bóg, lub najwyżej inni wierni w kościele.

Pan Bóg nie wymaga, żebyśmy się wciąż publicznie modlili; przeciwnie, Pan Jezus uczył, że jak się kto modli, to niech się zamknie do komory, to znaczy niech nie pokazuje całemu światu, że się modli, tak. jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie, jaki ja jestem pobożny".

Ale czasem Bóg wymaga od nas tej zewnętrznej czci, tej publicznej modlitwy — bo Bóg chce, żebyśmy się wiary naszej, naszych przekonań nie wstydzili, ale publicznie dawali o nich świadectwo.

Takiem zewnętrznem okazaniem naszych przekonań, naszej wiary w Boga, był ten Kongres Marjański.

Cały Kraków widział, ile to tysięcy ludzi wierzy w Boga, w Matkę Bożą i jak się do Niej modlić potrafi. Bez względu na zmęczenie i późną nocną porę, klęczały tłumy w nocy ze soboty na niedzielę w kościele Panny Marji odmawiały głośno cały różaniec, t. j. 15 tajemnic. A po tej modlitwie do Marji, Bożej Rodzicielki, popłynęła równie szczera prośba przed tron samego Boga.

Każdy, kto nocy tej wchodził, lub wychodził z kościoła Marjackiego, świadczył temsamem, że w Boga i Marję wierzy i Im chce służyć.

To samo publiczne wyznanie wiary składali Ci wszyscy, którzy przez miasto szli w niedzielę w procesji, głośno odmawiając różaniec.

Bierzcie, dziatki, przykład z tych waszych ojców, matek, braci lub sióstr, którzy tak publicznie Boga sławili. Niech wam ten przykład

staje zawsze przed oczyma, kiedy fałszywy wstyd będzie wam doradzał, by głośno do pobożności się nie przyznawać, by modlić się tylko w ukryciu, by nie komunikować w szkole na nabożeństwie jedynie dlatego, że koledzy zobaczą i za świętoszka okrzyczą. Nie wstydźcie się też zdjąć czapkę przed kościołem lub figurą, albo się przeżegnać; nie wstydźcie się odmówić znajomym, gdyby was częstowali w dzień postny jedzeniem mięsnem, nie wstydźcie się i miejcie odwagę i siłę odmówić wzięcia udziału nawet w wycieczce, któraby wam uniemożliwiała wypełnienie obowiązku wysłuchania Mszy św. w niedzielę.

Wreszcie nie wstydźcie się nigdy stanąć w obronie waszych przekonań, religji lub zasad Kościoła Katolickiego.

Niech Bóg dobry sprawi, ażeby z was wyrośli tak dzielni i odważni katolicy, jak te tysiące dorosłych i sędziwych ludzi, którzy publicznie swą wiarę przed paru dniami w Krakowie wyznawali.

Wtedy Polska nie zginie i nie zapomni o swej Niebieskiej Pani, Której poddaństwo za Jana Kazimierza ślubowała. Opierać się będzie na was, młodem pokoleniu, a Bóg wam będzie błogosławił, gdyż Chrystus Pan obiecał, że ten, który Go publicznie wyzna, tego i On nie zaprze się w dzień sądu, t. zn. uzna go za dziecko swoje. *E.*

Doktór Karol Marcinkowski

Był to jeden z najlepszych synów Ojczyzny, jedna z najpiękniejszych postaci naszych dziejów porozbiorowych, toteż warto się z nią bliżej zapoznać i uczyć się od niej, jak należy służyć Matce — Ojczyźnie.

Urodził się w r. 1800 w Poznaniu, jako syn mieszczanina. Już jako młody chłopak, uczeń naprzód gimnazjum, a potem uniwersytetu marzył o wskrzeszeniu Ojczyzny i należał do różnych związków patrjotycznych, za co go Prusacy do więzienia wsadzili. Po wyjściu z niego ukończył studja lekarskie i całą swą wiedzę poświęcił na ratowanie bliźnich. Gdy się dowiedział, że w Warszawie wybuchło powstanie listopadowe, postanowił przedrzeć się przez pilnie strzeżoną granicę pruską, bo Poznańskie było pod panowaniem pruskiem, i walczyć w szeregach obrońców ojczyzny. Chciał być prostym szeregowcem, zwykłym żołnierzem i rozpoczął już służbę, spełniając w pułku najniższe posługi, gdy generalny lekarz wojska polskiego dowiedział się, że Marcinkowski jest doktorem medycyny i powołał go z koszar do służby w lazarecie. Jako lekarz wojskowy i równocześniej jako oficer sztabowy odbył Marcinkowski kampanję na Litwie, nie szczędząc sił ani zdrowia w niesieniu pomocy rannym i biorąc udział w wielu potyczkach. Powstanie upadło. Uczestnicy jego musieli opuścić kraj i udać się na wygnanie. Marcinkowski ze swym niegdyś wojskowym zwierzchnikiem, a obecnie serdecznym przyjacielem generałem Chłapowskim wyjechał do Anglji, a potem do Francji. Choć powstanie zawiodło nadzieje Polaków, on nie oddał się rozpaczy. Nie mogąc bić się za ojczyznę, postanowił dla niej pracować. Skorzystał z pobytu zagranicą, by się wykształcić w swoim fachu medycznym, a oprócz tego badał życie narodów zachodnich, by się dowiedzieć, co uczyniło je potężnemi i szczęśliwemi. Zobaczył wnet, że oświata i pilna praca są podstawą ich szczęścia i z bólem myślał o swym narodzie

pogrążonym w ciemnocie i próżniactwie. Sam pracował, jak mógł, uczył się i leczył biednych wygnańców Polaków. Nadeszła upragniona chwila powrotu do kraju. W Poznańskiem wybuchła straszna epidemja cholery. Wtedy przypomniano sobie Marcinkowskiego, jego wielką wiedzę i poświęcenie się i zwrócono się do władz pruskich z prośbą, by go odwołano z wygnania. Władze po krótkich trudnościach zezwoliły i Marcinkowski powrócił do kraju. Odrazu zabrał się do roboty zawodowej, jako lekarz, i społecznej, jako Polak. Nietylko był znakomitym, ale również i niestrudzonym lekarzem. Nikomu, choćby najbiedniejszemu nie odmówił porady. Szedł wszędzie, gdzie go wezwano, choć sam nie był zdrów, choć deszcz jesienny lał lub szalała zadymka. Dalsze wizyty odbywał konno, żeby być prędzej u chorego, jak mawiał. I widziano go nieraz, jak cierpiący siadał w niepogodę na konia i jechał kilka mil nieść pomoc ubogiemu robotnikowi folwarcznemu. Już taka praca wystarczała, by zużyć najsilniejszy nawet organizm, a przecież na niej on nie poprzestał. Równie pilnie jak chorym, poświęcał się dla kraju. Widział, że jeżeli naród nie podniesie się pod względem oświaty i uświadomienia narodowego, jeżeli nie zabierze się do pracy na roli, w przemyśle i handlu, to straci swą polskość i zniemczy się zupełnie. Więc począł zachęcać ludzi do uczenia się, do oświecania ludu, do łączenia się w pracy przeciw zakusom niemieckim. Pociągał do tej pracy wszystkich i jego staraniem założono w Poznaniu Towarzystwo Pomocy naukowej dla niezamożnej młodzieży, oraz sławny Bazar, który na długie lata stał się ogniskiem życia polskiego w dzielnicy poznańskiej, tak strasznie przez rząd pruski prześladowanej. Ale niedługo mógł się cieszyć Marcinkowski swojemi dziełami. Praca ponad siły i choroba płuc stały się przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Zmarł mając ledwie 46 lat, opłakiwany i żałowany nawet przez Niemców, którzy cenili w nim zacnego człowieka. Zwłoki jego złożono w Grobach zasłużonych, w kościele św. Wojciecha w Poznaniu.

Oto i dla Was dobry przykład, dzieci kochane. Uczyć się pilnie za młodu, by kiedyś swoją wiedzą bliźnim i Ojczyźnie służyć, a kiedy ona zawoła bez wahania stanąć w jej obronie. *T. St.*

Ptaszęca prośba

Z dalekich stron, z pod innych gwiazd
Wracamy znów do naszych gniazd,
Ukrytych tu, pod strzechą chat.
Zbiegliśmy hen, szeroki świat,
I zmierzyliśmy niebios szlak,
Tęsknota nas gnębiła tak...
Mróz gnał nas stąd i wichrów zgrzyt,
Więc znikł nasz śpiew. Gardziołka cyt...
Frunęliśmy, gdzie słońca żar,
Gdzie może wciąż rozbrzmiewać gwar,
Gdzie mróz nie tłumi w piersi tchu.
Lecz teraz znów wracamy tu,
Słodzić wam trud, łagodzić ból
I nucić pieśń wśród gajów, pól,
I nucić pieśń, co echem ech
Będzie się nieść od strzech —do strzech,
Napełnim nią konary drzew
I wszędzie się rozniesie śpiew...
Wracamy więc do swoich stron,
Bo wszak nam tu nie grozi zgon,
Nie czyha tu ukryty wróg:
„Gdzie wchodzi gość, tam wchodzi Bóg!"
Dziatwo, u serc twych ojców, mam,
Gdy słodko śnisz, gniazd nie niszcz nam,
Bo splata je nasz trud i znój,
A spocznie w niem ptaszęcy rój!
O, nie niszcz gniazd, gdzie ptaszki śnią,
Wszak to nasz skarb, te dzieci są...
Swawolę złą, o dziatwo, rzuć,
Wraz z nami pieśń w zawody nuć,
Niech polską pieśń, rodzinny śpiew,
Roznosi hen, wiosenny wiew!
O, dziatwo, nuć, prześpiewaj nas,
Niech pieśnią twą rozbrzmiewa las,

Wasz dźwięczny głos niech płynie w krąg
Z nad dolin, pól, do gajów, łąk,
U niebios bram niech znajdzie wtór,
Aniołków śpiew niech zwiększy chór,

Niech brzmi wasz głos u niebios bram,
Lecz gniazdek, ach, nie niszczcie nam,
Wracamy tu, by tu je wić,
Nie niszczcie ich, my chcemy żyć!

P. W.

W borze z wiosną

(Zdarzenie prawdziwe z dnia 7. IV. b. r.).

Po długich miesiącach zimna słonko wyjrzało z za chmur i oświetliło stadko sarenek na polance poleskiego boru.

— Ach, jak dziś grzeje — rzekła jedna z nich — widać zima się kończy.

— A tu koło drzewa już nawet odtajało — rzekła druga i poczęła poszczypywać zeszłoroczną trawkę.

— Wnet już będzie młoda trawka, taka smaczna i młode listeczki — cieszyła się trzecia, znana ze swego łakomstwa — już mi się tak uprzykrzyły te suche liście, a czasem tylko siano, co nam tu dobrzy ludzie zostawiali.

— Ej, nie wnet będziesz miała jeszcze świeżą paszę, patrz, co tu śniegu wszędzie leży — mówiła mama-sarna, co już niejedną zimę przeżyła — nim te masy stopnieją, to dużo czasu upłynie.

Ale przyszedł nagle ciepły, zachodni wiatr i z pomocą kwietniowego słonka zaczął szybko topić śniegową powłokę. Sarenki ujrzały jednego dnia ze zdumieniem, że las stoi we wodzie.

— Chodźmy szukać suchego miejsca — rzekła im matka. — Znam takie miejsce, gdzie woda nie dojdzie w największy zalew.

I pomknęły, chlupotając zgrabnemi nóżkami po wodzie, niekiedy dosyć głębokiej, to znów grzęznąc w ziarnistym, mokrym śniegu. Wreszcie doszły do małej wyniosłości, porosłej drzewami, dosyć jednak rozległej. Na jednym jej końcu był domek gajowego.

— Tu przebędziemy kilka dni — rzekła matka — a potem wody opadną.

Zapadała noc, zimna i wilgotna. Wicher szumiał w bezlistnych jeszcze gałęziach. Ptaki leśne z początku głośno dawały znać o sobie, a potem umilkły. Sarenki zabierały się do spania.

Nagle matka poruszyła się niespokojnie i poczęła patrzeć w górę.

— Co to takiego — szepnęła młoda sarenka, tuż obok stojąca.

— Cicho, patrz, tam.... wysoko... na sośnie... ryś.

I rzeczywiście wysoko, na rozwidlających się gałęziach sosny, stojącej trochę samotnie siedział drapieżny straszny kot puszczy, ryś. Polował sobie w najlepsze całą zeszłą noc i zapędziwszy się daleko od legowiska, przespał zmęczony dzień cały. Obudziwszy się o szarej godzinie, ujrzał, że drzewo stoi we wodzie. Więc skacząc z gałęzi na gałąź znalazł się też blisko gajówki. Poczeka tu, aż wody opadną, z głodu nie umrze, bo widzi dobrze stadko sarenek, które mu nie ucieknie. Żeby tylko gajowy mu nie przeszkadzał.

Biedne sarenki tuliły się drżące do matki. Jak urzeczone patrzyły w górę, gdzie coraz wyraźniej w zapadającym mroku świeciły krwawo straszne ślepia, niby czerwone gwiazdy bliźniacze.

— Chodźmy jak najdalej — błagały matkę.

Pomknęły skokiem w bok, ale wnet musiały stanąć. Woda wzrosła jeszcze bardziej i niby jezioro marszczyła się od wiatru.

Nagle na jedną z nich z góry spadło coś jasnego i miękkiego. To straszny rabuś siedział już jej na grzbiecie wpijając się weń ostremi pazurami. Reszta stadka, oszalała z przestrachu rozbiegła się na wszystkie strony. Jedna z sarn wpadła do ogrodzenia przy gajówce.

— Coś się tu dzieje — rzekł gajowy, który stał na progu. — Trza iść zobaczyć, chodź Hektor — krzyknął na psa.

Ten pomknął w gąszcz. Wkrótce gajowy usłyszał gwałtowne ujadanie. Przyśpieszył kroku. Ujrzał psa, szczekającego z podniesionym w górę pyskiem.

— Ryś, czy co — pomyślał i w tej chwili ujrzał jak na Hektora spadł z drzewa płowy, puszysty ryś. Rozpoczęła się walka. Gajowy nie mógł strzelać, bojąc się trafić w ulubionego psa.

— Hej tu, na pomoc — krzyczał w stronę gajówki.

Przybiegli co tchu dwaj młodsi gajowi. Jeden z rosochą (kijem rozwidlonym na końcu) w ręku. Stary porwał ją i chwycił widłami szyję rysia, a chłopaki przytrzymali za łapy. Drgał i szarpał się strasznie, ale nie puścili.

— Wiązać go, czem kto ma i do klatki! — krzyknął stary.

Rozkaz został szybko wykonany. Wkrótce rabuś tłukł się ze wściekłością o pręty klatki, a stadko saren, zmniejszone o jedną siostrzyczkę, zebrało się znowu i rozpamiętywało straszną przygodę.

Gazety niedzielne doniosły, że ryś ten został już przesłany do ogrodu zoologicznego w Warszawie, jako dar ks. Karola Radziwiłła. (Przyp. Red.)

A. Piotrowska-Kotzmanowa.

WESOŁY ŻYWOT i ŻAŁOSNY KONIEC

NIGRUSIA

(Ciąg dalszy).

Z początku nie miały dziewczynki towarzystwa w Witowie i mamusia zaprosiła p. Małgosię, znajomą panienkę z Katowic na sierpień.

P. Małgosia znała Nigra, mówiła o nim zawsze, że jest „kochany", a przywiązanie Nigra do niej nie miało granic. Na domiar — osóbka p. Małgosi wiązała się w jego wyobraźni z największym przysmakiem — mianowicie z kiełbasą.

W Witowie nie można było dostać dobrej kiełbasy, więc mamusia prosiła, by p. Małgosia kupiła po drodze w Zakopanem i przywiozła.

Po przyjeździe p. Małgosia nie wypakowała jej natychmiast, a wyjmując coś innego, zostawiła teczkę otwartą i poszła na podwieczorek do pokoju dzieci.

Niger znał się na rzeczy. Zapachniała mu kiełbasa, skoczył na stół i wyciągnął paczkę. Oczarowany i olśniony zdobyczą, wybiegł z długą i grubą kiełbasą na podwórze — drzwiami — tym razem. Gdy go Marynia spotkała na werandzie, tak się przestraszył, że zostawił kiełbasę i uciekał co tchu.

Nic wprawdzie nie miał z tego, ale pamiętał, że w teczce p. Małgosi znalazł tyle kiełbasy i polubił ładną panienkę jeszcze więcej.

Po przyjeździe p. Małgosi zaczęły się dalsze przechadzki i Nigruś ani na krok nie odstępował wesołej, rozbawionej czwórki, uganiając po górach i rozdołach.

Pływał też wspaniale — otrzepywał się potem z wody i gnał po rozsłonecznionych łąkach, by się osuszyć i rozgrzać. Można było podziwiać jaki był zwinny i zgrabny.



Wyćwiczył się w skokach do tego stopnia, że potrafił skoczyć oknem do pokoju, stanąć na ławce na dwóch łapach i nim się ktoś z siedzących przy stole spostrzegł — umaczał pyszczek w zupie Cesi, która jeszcze do stołu nie siadła. Dwa razy się to zdarzyło. — Naturalnie Cesieńka wybroniła swego faworyta przed złemi następstwami takich czynów.

Jeden tylko tatuś miał odwagę surowszym się okazywać i jego też tylko właściwie Nigruś słuchał.

Dobrze było temu rozkosznemu zuchwalcowi w Witowie i nie mniej jak dzieci żałował, że kończyły się wakacje i czas odjazdu do Katowic nadchodził.

Gdyby umiał mówić, poskarżyłby się napewno mamusi i użalił przed nią serdecznie. Cóż, kiedy nie był w tem szczęśliwem położeniu, co ludzie, musiał milcząco cierpieć. *D. n.*

Anna Kozłowska.

Rycerskie przygody Miłosza

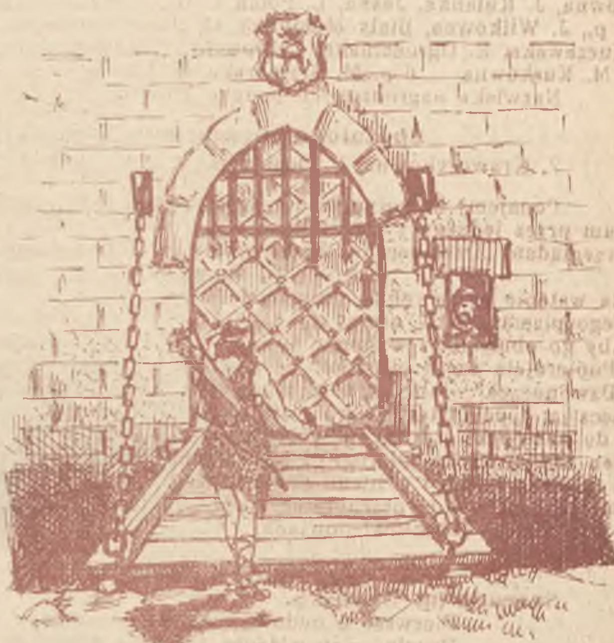
(Ciąg dalszy).

Pewnego ślicznego poranku dowiedział się ze świergotu ptasząt, który doskonale rozumiał, że jest w królestwie króla Niskorusa, że bór się skończy, zanim słonko spać się położy. Ucieszony bardzo, że przecie coś nowego zobaczy, jechał teraz raźno dalej, myśląc nad tem, ktoby to był ów król Niskorus. A gdy już miało się ku wieczorowi, wysłał szpaka na zwiady, który niebawem powrócił, oznajmiając mu, że widział zdala jakieś warowne zamczysko, bardzo okazałe. Miłosz łódź swoją z łopuchu na brzeg wyciągnął i szedł teraz pieszo. Gdy już całkiem wyszedł z lasu, prześliczny widok olśnił jego oczy. Zobaczył bowiem kraj piękny, obszerny, słabo sfalowany, uprawne role i łąki kwieciste, w dali zaś, spiętrzony wysokiemi basztami, stał potężny zamek.

Miłosz długo nie mógł oczu oderwać od prześlicznego widoku, wszystko wydawało mu się jakimś snem czarownym, więc żeby się upewnić czy nie śnł, zapytał szpaka czy i on to samo widzi, a gdy szpak potwierdził, zapewniając, że jeszcze piękniejsze zobaczy rzeczy, rozpłakał się z radości Miłosz, myśląc zrazu, aby natychmiast tą samą do domu powrócić drogą i swoim

rodzicom te cuda pokazać. Lecz po namyśle powiedział sobie: niechże ja wpierw wszystko poznam, abym wiedział, co mam w domu opowiadać.

Idąc powoli ze szpakiem na ramieniu znalazł się wreszcie przy zamku. Przeszli razem most zwodzony i stanęli przed warowną bramą. Miłosz zastukał kołatką, która w tym celu u bramy wisiała, a po chwili z poza silnie okratowanego okienka, ukazała się głowa wartownika, który zapytał:



— A czego wy tam?

— Puśćcie, puśćcie żołnierzu, jestem Miłosz, syn Złotoroga.

— Zacne jak widzę jesteście pacholę, ale radzę wam do domu zawrócić, gdyż u nas wielki smutek panuje.

— A to czemu? — spytał Miłosz.

— Oj, wielkie ci ma nasz miłościwy król Niskorus zmartwienie, bowiem zabrakło królewnie Jagusi zabawek, wszystkie już zna, nic jej nie zajmuje, smutna chodzi po swoich komnatach, mało co je i po nocach spać nie może. Zjechało do nas mnóstwo wszelakich kupców z przeróżnemi zabawkami, ale nic się z tego królewnie nie spodobało, chodzi wciąż równie smutna i milcząca.

— O wierzę, że to wielki musi być dla króla smutek, ale wy mi mimo to bramę otwórzcie, bo noc się zbliża, a dom mój daleko.

— Kiedy królewna, zawiedziona na owych kupcach, już więcej nikogo puszczać do zamku nie pozwoliła, — tłómaczył dalej wartownik.

— Pan mój nie kupiec, — wrzasnął szpak do ucha wartownikowi.

— Co! zawołał tenże, — wy macie mówiącego ptaka?

— Ot, jak widzicie, — odparł Miłosz.

— No to wchodźcie — rzekł pospiesznie wartownik, myśląc w duszy, że postara się złapać ptaka i doręczyć królewnie jako zabawkę. Już zgóry obmyślał jakiejby żądać nagrody, gdy niespodzianie szpak zawołał:

— Niedam się, mości wartowniku.

— O skaranie! wyszeptał wartownik, toć on i w myśli czytać umie, czemprędzej więc odesłał ich do izby czeladnej, aby jak sądził, noc tylko tu przepędzili, a nazajutrz zamek mogli opuścić. *(C. d. n.)*

Rozwiązanie zagadek z N-ru 15 nadesłali:

M. Zygmuntówna, R. Kurkówna, Gwiazdeczka, Z. Węgrzynówna, Z. Rojkowski, W. Szczotkowska, F. Jaśkówna, Z. Celadynówna, Krakus, Ursus, M. Drebszak, W. Dadał, Indjanin, W. Kułeszir, R. Siwek, W. Radwan, S. Strasiówna, Eloe H. Kikuś, *Zalaskowski*, S. Golka, Lilijka, Wojciechowski, E. Steinfels, W. Pławuszewska, L. Susz, L. Hónda, Sarenka Modroska, W. Matlakówna, J. Trybowski, M. Grodzicki, Wisienka,

Ł. Zawodnik, J. Krupa, Cowboy, St. Martyna, W. Koczanowiczówna, B. Harańczykówna, J. i I. Majenta, *B. Hyrczak*, J. Kurzeja, A. i R. Woźniaccy, Orzeł Biały, Sokole Oko, Niezapominajka i Szarotka, C. Szajkowska, R. Musiał, Pilot, *W. Kręciakówna*, (proszę o podanie adresu, celem przesłania nagrody), *H. Świeżówna*, K. Świeżówna, J. Kulanka, Jaśka, L. Polak i Wł. Czubak — po 9 punktów. J. Gabrzycki 8 p., J. Wilkówna, Biały Murzynek, C. Hawrysiówna, C. Jaśkiewiczówna — 7 p., K. Kuczawska, K. Ogrodzińska, Żebrowski, Z. Krawczykówna, A. Halotówna, Z. Cieplik i M. Kurkówna — 6 p. M. Brymarska, H. Chmielówna — 5 p. H. Woźniak — 3 p.

Nazwiska nagrodzonych podane kursywą.

Spóźnione rozwiązania N-ru 14 nadesłali:

Z. Krawczykówna, S. Dusiówna, X. J. Ostrejko, F. Krieger i K. Ciapulówna.

Podajemy humorystyczne, wierszowane rozwiązanie zagadek z Nr. 15, nadesłane nam przez jednego z czytelników.

Przeglądam „Dzwoneczka„ kącik rozryw- [kowy.
Na wstępie widzę rebus. Przyjaciel nowy
Tego pisma Musiał, starał się usilnie,
Aby go obmyśleć i wykonać pilnie.
„Popierajcie nasze pisemko“ — powiada
„Dzwoneczek“ — i myśli, że mi trudu zada,
Lecz ja, specjalista, szybko rozwiązałem
I do następnej szarady się zabrałem.
Ten zaś mówi, że „pierogi“ z powidłami,
Z mięsem, serem i różnemi przysmakami
Bardzo lubi i że je najchętniej zjada.
I ja również. Żebrowski powiada:
Jeśli mą zagadkę dobrze rozwiążecie,
„To trzy punkty w tych zawodach dosta- [niecie”.
A zagadka to łatwa. Nazwę polskiego
Poety wielkiego, sławnego, dawnego,
Należy odszukać — cóż jest łatwiejszego?
Więc do pracy się zabrałem.
„Naruszewicz!“ — Rozwiązałem!
A dobra ciocia mą radość zrozumiała,
Dwadzieścia pięć groszy na znaczek mi dała,
Żebym rozwiązanie do Redakcji posłał,
I miłą nagrodę losowaniem dostał.

J. Tr.

Kącik rozrywkowy

Szarada (ul. Dana) 2 p.

Pierwsze u budowniczego napewno znajdziecie
Drugie — ty właśnie, to jasne przecie
Całość Krakowa wielka to ozdoba,
Więc się też słusznie każdemu podoba.

Logogryf (uł. S. Golka) — 3 p.



= rasa psów
= wyniosłość
= mieszkanie zwierząt
= jest w rybie
= zdrobniałe imię męskie
= wielka ilość
= zdrobniałe imię żeńskie
= ptak
= służy do szycia
= imię biblijne
= służą do młócenia
= są w ustach
= odgłos
= wielkie zimno

Litery znajdujące się w kratkach oznaczonych krzyżykami dadzą utwór historyczny H. Sienkiewicza.

Łamigłówka Sylabowa (uł. D. Schneikart — 2 p.).

Z niżej podanych sylab ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery czytane z góry na dół, dadzą nazwę znanego miasta w Palestynie.

Znaczenie wyrazów: 1 Znosi kura. 2 Rzeka w Niemczech. 3 Kwiat. 4 Posiadają zwierzęta. 5 Potrawa. 6 Skrzydlate, a nie ptak. 7 Jest w wulkanie. 8 Imię żeńskie spieszczone. 9 Ma kamienica. 10 Imię biblijne.

Sylaby: A, ba, el, ir, ja, ła, ka, o, ja, ró, je, ron, ry, wad, wa, zor, za, mu, zu.

Wychodzi pod redakcją Dr. E. Estreicherowej.
Redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 10-12 i w środy od 3-4 (Straszewskiego 18)

Drukarnia „Powściągliwość i Praca w Krakowie, ul. Kazimierza Wielkiego Nr. 95.